

Cz. 6

*

Żałoby panującej w domu Baczynym opisać nie sposób. Ciszę, żal i milczenie, przeplatały krzyki i odgłosy uderzeń oraz ciskanych sprzętów. Taki to los Bakową babę już spotkał, że całą winą została przez męża obarczona. Także teraz, z dnia na dzień, wyglądała gorzej. Co rusz jakiś nowy uszczerbek, na, już i tak nadszarpniętej powierzchowności, się pojawiał. To z zębami powybijanymi odmawiać różaniec za syna poszła. To znów rękę złamaną znachor usztyniać musiał. Zaraz następnego dnia pod oczami sińce dwa się pojawiły; granatowe jak dorodne śliwki. A to przecie tylko to, co niezakryte. Sama jedna biedaczka wiedziała, jakie tam jeszcze okaleczenia jej sukmana kryła. Ludzie mieszać się do rodzinnych spraw nie chcieli, bo i pewne, że kobieta losu nie odmieni, a jeno przeczekać musi. Baka wszak chłop postawny, acz serce miał miękkie. Wcześniej, czy później, gdy żal nieco zelży, wybaczy i do łask przywróci.

Na pochówek Baka trzeźwy przyszedł. Twarz w powadze i rozpaczy miał pograżoną. Za trumną jako pierwszy podązał. Za nim, pochylona w pokorze, żona. Dalej caluśka osada. Wszyscy jak jeden mąż, Cyrylowi, w tej ostatniej ziemskiej podróży, towarzyszyć postanowili. Smutny to dzień był, a i niebo płakać zaczęło, z przedwczesną śmiercią najwyraźniej się nie godząc. Idący na samym początku ponurego orszaku Ksymiarz, kroku nieznacznie przyspieszył, a w następstwie czterech mężów trumnę niosących. Tak i cała reszta do przyspieszenia zmuszona została. Jedynie strugi lejącego deszczu zakłócały ciszę. Innego dźwięku nawet najczulsze ucho nie wychwyciło. Dół już czekał, tedy skrzynię spuszczone, a Ksymiarz krótkie nabożeństwo odprawił. Następnie mowę pożegnalną rozpoczął:

- Żegnamy dziś syna umiłowanego, przyjaciela bliskiego nas wszystkich jakieś tu obecni – rozpoczął. – W walce nierównej z Szatanem i jego pacholkami ubitego. I choć na pastwiska pańskie przyszło mu powędrować – kontynuował – pacholęciem niemal będąc. Męską śmiercią, w walce ze złem, poległ.

- Rozcinajta sznury – polecił Krowulec.- Zara mu tę litaniję przerwę.

Czesław w te pędy, sierpem, co to go obok którejś chałupy znalazł, więzy na krowulcowych pęcinach rozciął. Ten susem jednym z depresji, co to na innego nieszczęśnika kwatere była przeznaczona, a od Cyrylowego miejsca pochówku nieodległa, wyskoczył. Dalej już tętent jeno słychać było.

Ludziska w zaciekawieniu wypatrywać zaczęli, co to za zwierz do ucieczki się zerwał. Niewiele jednak zobaczyć się dało, bo Krowulec w przeciwnym kierunku czmychnął, ile sił w nogach.

- ...A śmierci winni. – Ksymiarz spowolnił, oddalającym dźwiękom się przysłuchując. - A śmierci winnych – powtórzył, unosząc głos. – W pułapkę udało się pojmać!

- Zdrada! - Wściekłość okrutna na dziada obliczu zawitała. – Od razum tego krowulca zaufaniem nie darzył. Zwiesć się dalim! Tera biada nam.

Tymczasem żałobnicy zamarli.

- Wampiurze to! - Padła odpowiedź na pytanie, którego nikt zadać nie zdążył. – Krwi bydlęcej, od lasu,

aż po tamten dół - środkowy palec, który w jego dłoni wskazującego rolę pełnił, uniósł - narozlewałem. A ci jak bydle na powrozie zaciągnąć się dali! Potem do dołu na dwa metry głębokiego wleźli, żeby swym diabelskim upodobaniem dogodzić! Ino im uciec nie dajta! Rychło, bierz co kto tam ma! Póki się nie wygramolą!

Gawiedzi dwa razy powtarzać trza nie było. Najsampierw Baka ku zdradzonemu przez krowulca nieszczęśnikom ruszył. Chwyciwszy to co pierwsze pod rękę mu się nawinęło. Był to krzyż wbity w jakowąś leciwą mogiłę. Potem baczyna kobieta, chwyciwszy kamień rozmiarów głowy niemowlęcia. Dalej inni, popędzani krzykami bab z ostatnich szeregów.

- Wypatroszyć diabulców! - wrzeszczała Jarmucha. – A przyrodzenia wcześniej powyrywać, by się i w kolejnym wcieleniu zło rozmnożyć nie mogło!

- Oczy powydłubywać – wtórowała jej Mordołowa, która najwyraźniej swoim cierpieniem ze złapanymi podzielić się chciała. Bo i sama jednym jeno ślepiem świat oglądać mogła.

Tłuszcza dopadła skraju kryjówki. Plując, ciskając kamieniami, tłukąc swe ofiary przygodnie zdobytymi kijami i powyrywany z grobów krzyżami. Bo nawet i tego oręża żądza zemsty nie uszanowała!

- Opanujta się! - wrzasnęła Horała. – Zło jeno ściągnieta! - Wzrok na krzyż, z którego wyrwaniem Jędek, parobek Baczyny, nie mógł się uporać, odwróciła. - I wampiurze, i to boskie na dodatek!

Jej głos jednak zginął wśród, o wiele bardziej gromkich i spotęgowanych, krzyków nienawiści. Jeno trzask i wrzaski. Ci, co najbliżej byli, mogli nacieszyć się jękami osaczonych. Co rusz to, któryś obrywał, a to po łbie kamieniem, a to końcem kija w pierś czy brzuch. Czas niemości rogatego i dziada, co w potyczce z babą jedno oko stracił, a teraz myślami i z drugim się żegnał, końca dobiegał.

- W imię ojca... – Krzykiem bólu dławiąc, znak święty na piersi znacząc, Czesław ostatnią modlitwę zaczął – I syna...- Niebo czerwienią się pokryło. Przez myśl przeszło nieszczęśnikowi, że krew do oczu się wlewa – I ducha... – Uparcie przed wydaniem ostatniego technienia słowa święte pragnął dokończyć. – Świętego...

Gawiedź tymczasem jakby entuzjazm straciła. Najpierw Bakowa w niebo zaczęła spoglądać, po czym pokaźny kij, którym Gnojasmroda po łbie tłukła, z rąk wypuściła. Baka za jej wzrokiem podążył bo i ciemność jakaś krwawa okolicę opanowała, niepokój budząc. Za nimi już jeden za drugim, wszyscy sprawiedliwość wymierzający, jak zaślepieni w górę patrzyli. Na czoło wysunął się Ksymiarz, na kolana padł, głowę ku ziemi chyląc.

- Wybacz Panie! – W szczerzej bojaźni krzyknął, a za nim wszyscy jak jeden mąż, parobek obok pana, bogaty obok biednego, jako brat obok brata, w błotnistą ziemię popadali. - Bo nie wiemy, co czynimy - dokończył.

- Ksymiarzu! – Ku zdumieniu wszystkich, kobiecy głos dał się usłyszeć. - Jak śmiesz nawet teraz okłamywać najwyższego?

Dobrodziej niepewnie głowę uniósł i pobladł z przerażenia. Przed zgromadzonymi stała ona - wampirzyca, którą sam, w nieświęconej ziemi grzebał. Teraz stała naprzeciwko, a delikatny, pobłażliwy uśmiech, rozświecał jej oblicze.

- Precz! - wyszeptał niepewnie, jakby nadzieję miał, że jego słowa nie zostaną dosłyszane – precz wampiurze!

Kobieta roześmiała się szyderczo.

- Toż to Mastucha – wyszeptał cicho Gnojosmród, który głos kobiety rozpoznał. – Jesteśmy ocaleni.

Czesław nie odpowiedział nawet, tylko natychmiast zaczął gramolić się na górę. Gdy pułapkę, w jaką ich bykoczek zaciągnął, opuścił, Gnojosmrodowi natychmiast pomocną dłoń podał.

- Tylko nie podchodź do niej i obłapiać w podzięce nie próbuj – rzekł, gdy dziad sapiąc i dysząc, na zbłoconą cmentarną ziemię wyłaził. – Bo ci jeszcze drugie oko wylupi.

Ksymiarz tymczasem na odwagę się zebrał i powoli, drżąc ze strachu, z klęczek wstać próbował.

- Na ziemię! - wrzasnęła Mastucha, po czym prawą dłoń ku górze uniosła. Jak na rozkaz błyskawica rozświetliła niebo, a tuż po niej okolicą huk zatrzęsł. To i wszyscy, którym w ślad za pasterzem swym ruszyć do głów przyszło, na powrót z błotem się witać zaczęli.

- Za grzech własny tym dwóm nieszczęśnikom kazałeś zapłacić, dobrodziej. – A słowo "dobrodziej" wymówiła z odrazą. - Ksymiarzu, ciebie krowojebem zwać winni! Nie dobrodziejem, nie pasterzem! - Jakby na potwierdzenie za sznur pociągnęła, który najwyraźniej cały czas w lewej dłoni skrywała. Wszyscy widzieli, że jakaś siła znajdująca się po drugiej stronie, opór stawia. Sznur to napinał się, to na ziemię opadał, by znów po chwili dzielnie się wyprężyć. Mastucha jednak nie dawała za wygraną, ku sobie zdobyć ciągnęła.

Czesław tymczasem stał, wpatrując się w nią jak w obrazek. Była piękna. Nie zmieniła się odkąd widział ją ostatni raz, w dzieciństwie, kiedy to czapkę futrzaną mu dawała, nosić nakazując. To dzięki niej ksymiarz nigdy nie poznał w nim ofiary swego zaklęcia. Udało się to, dopóki się chłopom do kościoła zaciągać niemoty nie zachciało. Łza spłynęła Czesławowi po policzku. Gdyby nie ten łotr, do dziś by we wsi mieszkał, zamiast po lasach się snuć i ludzkie mięso żreć.

Tymczasem spętana przez Mastuchę ofiara, stanęła przed oniemiałym audytorium, zwyczajem swym, kopyciskami nerwowo wierzgając i ludzkie oblicze ze strachu przed potępieniem kryjąc. Mastucha za ludzką dłoń szarpnęła, ku górze unosząc. Tak, by wszyscy piętno Ksymiarzowe rozpoznali. Tenże szósty palec, który wybrańcem miał go uczynić. Klecha widząc, że już oczu współplemieńcom nie zamydli, do ucieczki się rzucił. Ruszył, potykając się o mogiły. Mastucha wzrokiem pełnym pogardy go odprowadziła.

- Idź! - rzekła tylko. - Żyj jak zwierzę, kiedyś ze zwierzętami spółkować nawykl.

Zamieszanie wykorzystując, bykoczek uwolnił się, wyrывая powróż z rozluźnionej dłoni Mastuchy. Za ojcem popędził. I jego wiedźma zatrzymywać nie chciała, tylko wzrok ku Bace odwróciła. Ten wszak, wspomniawszy śmierć synów swych, już dłonie w pięści zbierać zaczął, ślepą nienawiścią pałając.

- A ty – zaczęła, nim krok w jej stronę poczynił – gdybyś tak zaciekle śmierci mej i tych dwóch obrzępiałów – tu na Śmierdzignoja i Czesława wskazała - nie szukał. Jak na zwierzęta dzikie nie polował.

Synami do dziś byś się cieszył! Tedy na mnie wzrokiem wściekłym nie łyp, boś sam sobie winien.

Baka jednak słuchać nie zamierzał. Krzyż, z którego pomocą jeszcze przed chwilą zemsty na Czesławie szukał, uniósł, i dalejże na wiedźmę ruszać. Ta jednak, na ciosy nie czekając, dłonią tylko skinęła. Baka stanął jak wryty. Najwyraźniej czar rzucony w miejscu go zatrzymał, że ni ręką, ni nogą ruszyć nie potrafił. Na dodatek zimno poczuł przenikliwe - najpierw w kolanach, potem przez pas przeszło i aż do głowy dotarło. W oczach pociemniało i świadomość go opuściła, jakby sen znienacka dopadł. Ludzie z rozdziawionymi gębami wpatrywali się, jak czarownica chłopisko w kamień zamienia. Nieświadomie zegnali się i słowa modlitwy powtarzali, koszarne widowisko podziwiając. Wiedźma zaś do rzeźby makabrycznej podeszła i lekko trąciła, garść prochu tylko pozostawiając.

- Sami widzieliście, że szansy sobie nie dał, krzyża najświętszego, jako narzędzia mordy chcąc użyć – rzekła. – Idźcie tedy do domów i o tym, coście tu widzieli, zapomnijcie. A tego tu, jak go nazwaliście, niemotę, do łaski przywróćcie. Nic złego wszak nie uczynił, a jeno czarów ofiarą się stał. Bogu on bliższy niż ten wasz Ksymiarz!

Ludzie przez chwilę w przerażeniu spoglądali, to na wiedźmę, to na garść prochu która po Bace pozostała, to znów na Czesława, który teraz z dumą rogatą głowę uniósł. Jako pierwsza Horała doń podeszła.

- Wracajże do nas – rzekła - jeśli jeszcześ do końca nas nie znienawidził. A i dla ciebie, dziadzie jednooki – tu na Śmierdzignoja spojrzła - też się miejsce znajdzie.

Czesławowi aż twarz się rozjaśniła, na kolana padł i jak matkę Horałę całować po rękach począł.

- Niech wraca – rzuciła Mordołowa szczerząc w krzywym uśmiechu cztery poszczerbione zęby.

- Tylko niech już tę czapę wielką choć latem nosić przestanie – dodała Jarmucha, wybuchając głośnym śmiechem.

Inni tedy, do niedoszłych swych ofiar podchodzić zaczęli. To po plecach poklepać, to uścisk wymienić. Choć od dziada zaraz się odsuwali, bo i śmierdział chłopisko niemiłosiernie.

- Tedy do wsi idźmy! Za zło, co tu się przydarzyło, modlitwę odmówić – wrzasnęła nad głowami wszystkich Horała. A celowo to uczyniła, by niechęć Czesława do kościelnych ław sprawdzić. Jeśli była ona wcześniej tylko strachem przed Ksymiarzem powodowana, to teraz nijakich obaw mieć nie powinien. Wszyscy zamilki na chwilę, na niemotę z zaciekawieniem spoglądając.

- To idziem! - rzucił pewnie. - Dawnom tam nie był.

Olbrzymia radość przyćmiła wspomnienie o strasznych wydarzeniach, których przed chwilą byli świadkami. Korowód ruszył ku wiosce.

- Chodźże, Śmierdzignaju – zwrócił się do towarzysza niedoli Czesław, widząc, że dziad nie podąża za wszystkimi. – Chodźże z nami.

Stary popatrzył jeno spode łba, głową pokręcił.

- To nie mój świat – rzekł. – Ja do lasu wrócić muszę, nie tutaj mi żyć.

- Co to gadasz?! – Po plecach przyjacielsko dziada poklepał. - Tu ludzie, tu jedzenie, a ty do lasu między zwierza chcesz wracać?

Dziad westchnął tylko w zadumie.

- Nie mój to świat i źle się w nim czuć będę. Wszak widzisz, że ludzie, choć serdeczni, na trzy łokcie ode mnie się trzymają. Wrócić muszę, między kniejami dziadowski żywot prowadzić. Tam moje miejsce.

- No nie wiem - rzekł Czesław, którego Jarmucha właśnie za ramię szarpać poczęła, by w tyle za innymi nie zostawał. Tedy ruszył, oglądając się raz po raz na malejącą sylwetkę przyjaciela, który z największej biedy go wybawił.

Jedna tylko kobieta za rozradowanym tłumem nie pobiegła. Żona baczyna nad garścią popiołu klęczała i łzy roniła, modlitwy powtarzając.

- Tyle krzywdy ci narobił, a ty go oplakujesz? - rzekła Mastucha, podchodząc do zrozpaczonej kobiety.

- A jakże to – odpowiedziała – toż to chłop mój jedyny! Co bez niego uczynię?!

Wiedźma zamyśliła się. Po niebie wzrokiem powiodła, po czym rzekła:

- Idź do domu, a jutro powróć w to miejsce. Trzy zazielenione gałązki młodych drzewek znajdziesz. Pielęgnuj je, a na wielkie dęby wyrosną. Dusze twego męża i dwóch zmarłych synów w nich będą więzione. Co do nich powiesz, usłyszą. Nieraz szumem gałęzi odpowiedzą. Gdy coś ci grozić będzie, przybiegnij, a one ochronią. Więcej zrobić nie mogę.

Kobieta przez chwilę wiedźmie w oczy patrzyła, jakby próbując w nich wyczytać, czy prawdę mówi. Wreszcie, bez słowa, z kolan wstała, odwróciła się i ku wsi ruszyła.

- A Ty, Gnojasmrodzie? - do dziada spoglądającego na nią zza drzewa rzekła. – Do korowodu nie dołączasz?

Dziad nerwowo ręką machnął.

- Nie dla nich ja – rzekł. – Nie pasuję tu, do lasu mi wracać.

Mastucha uśmiechnęła się. Popatrzyła na starucha uwodzicielsko.

- Zatem chodź! - Zachęciła ruchem dłoni. - Ruszemy razem.

Dziad gębę rozdziawił, widząc tak rubaszne zachowanie.

- A ja tam wiem? – rzucił, udając niewzruszonego – czy mi drugiego oka zaraz nie wydłubiesz?

Kobieta roześmiała się. Ku olbrzymiemu Śmierdzignojowi zdumieniu, podeszła i powiodła zalotnie palcem

po jego policzku.

– Sprawdź, mój ogierze...

**

- No i to już cała legenda o Czesławie Niemocie, który w tej tu wiosce, późnej starości dożył – rzekł starzec, który w zamian za łyk wina i odrobinę stawy, zaproponował napotkanym na drodze podróżnikom, opowiedzieć związaną z tutejszym lasem legendę.

- Toś nam historię opowiedział, staruchu. – Roześmiał się szeroko najstarszy ze słuchaczy; mężczyzna, którego skroń przypruszoną była siwizną a twarz zdobiła spiczasta bródka. Barwne szaty świadczyły o wysokim statusie społecznym. - Jeszcze nie widział, by z jebania krowy, jaki potomek się komu urodził! Choć prawda to, że sam znałem kiedyś pewnego kupca z takimi upodobaniami. Dzieci jednak nijackich z tego "związku" nie było.

- A i człeka z rogami też musiałeś długo wymyślać – dołączył drugi, nieco młodszy podróżny. - Toć za taką bajdę, to i to wino, coś nam wychleptał, winniśmy z ciebie wycisnąć.

Najmłodszy chłopak, najwyraźniej służący pozostałych, słysząc złośliwe komentarze na temat usłyszonej opowieści, nie odezwał się ani słowem. Strasznie się zawstydził, gdyż w swej naiwności uwierzył w historię Czesława niemoty.

- Idź że już dziadu, pókiśmy dobrzy - rzekł siwiejący jegomość. - Bo za te dyrdymały powinniśmy cię batem wysmagać.

Bajarz, jedynym okiem, które mu pozostało, łypnął i odszedł, nie próbując nawet w polemikę się wdawać z wielmożnymi panami. Wszak to co chciał, już dostał. Najadł się, napił. Czas było wracać do lasu.

- Kłaść nam się trza – rzekł przywódca. – Od tego bajania już po północy się zrobiło.

- Na deszcz się zbiera – rzekł młodszy podróżnik, po czym ku górze spojrzał. – Szczyściem korony tych wielkich dębów nas przed zmoknięciem uchronią.

Służący szybko wyciągnął futra i skóry, chroniące przed listopadowym chłodem. Położył się jako ostatni. Zamknął oczy i wsłuchał się w historię opowiadaną przez poruszane wiatrem konary trzech pradawnych drzew.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mahuss, dodano 04.11.2011 09:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.